

Willard Van Orman Quine

**Fragment *The Time of My Life.*
*An Autobiography***

15. Stypendysta Sheldona

Dwaj przyjaciele poradzili mi, żeby rozpocząć ten rok w Wiedniu. Pierwszym był Herbert Feigl, który przyjechał z Wiednia na Harvard na stypendium postdoktorskie, drugim – John Cooley, mój kolega z ostatniego roku studiów, który właśnie odkrył *Der logische Aufbau der Welt* Carnapa.

Wydział ocenił moją rozprawę doktorską równie wysoko jak ja sam i podjął decyzję o sfinansowaniu jej wydania przez Harvard University Press. Ponieważ doktorat musiałem skończyć do kwietnia, miałem mało czasu na wprowadzenie wszystkich poprawek, na których mi zależało. Tym razem postanowiłem się jednak poświęcić i – żeby C.I. Lewis mógł podczas mojej nieobecności rozpocząć pracę nad publikacją książki – przełożyłem naszą rezerwację na parowiec i do połowy sierpnia poprawiałem maszynopis w Akron. Wysłałem go na osiem godzin przed wyjazdem z miasta w podróż po Europie.

Statek nazywał się *Prezydent Roosevelt* i wypływał z Nowego Jorku. Bilet w obie strony kosztował 112 dolarów od osoby. Żeby ograniczyć wydatki, podróż z Akron do Nowego Jorku odbyliśmy autobusem, ale nie wyszliśmy na tym zbyt dobrze. W autobusie padliśmy ofiarą kieszonkowca.

Logikę funkcji prawdziwościowych Nicod zamknął w jednym długim aksjomacie. Dowód uzasadniający tę redukcję był jednak przedstawiony w poplątany sposób – później okazało się, że w tym zagmatwaniu ukrywał się także błąd. Jeszcze kiedy pracowałem nad doktoratem, posłałem do „Mind” niewielki artykuł zatytułowany „A note on Nicod’s postulate”, w którym starałem się usunąć ten błąd. Termin publikacji artykułu właśnie się zbliżał i – ponieważ była to moja pierwsza tego typu publikacja – dosłownie nie mogłem się doczekać, żeby zobaczyć go w druku. Na szczęście w New York Public Library udało nam się zdobyć egzemplarz niemal tuż przed wejściem na pokład. Dopiero później

dowiedziałem się, że kilka miesięcy wcześniej Łukasiewicz opublikował po polsku artykuł, w którym dowodził tego samego, co ja, dodatkowo poruszając jeszcze inne kwestie związane z aksjomatem Nicoda.

Jak to zwykle bywa na statkach, zawarliśmy kilka znajomości. Poznaliśmy Sandora Rudnyanskiego, zdolnego muzyka – obdarzonego, jak przystało na Węgra, porywczym temperamentem – a także niezbyt urodziwą parę: młodego chudego chemika i jego grubą żonę, którzy udawali się właśnie na emigrację do Moskwy.

Zatrzymywaliśmy się to tu, to tam – w Normandii, w Paryżu i Strasburgu, potem spędziliśmy tydzień w Liechtensteinie. W tej niezwykle górskiej krainie odwiedziliśmy każdą *Gemeinde*. Z napotkanych po drodze urzędów pocztowych zawsze wysyłałem list do Teda Palmera – żeby na każdym widniał inny stempel. Stamtąd, lokalnymi pociągami, powolnymi, ale za to tanimi, dotarliśmy wreszcie do Wiednia

Przybyliśmy do Wiednia 11 sierpnia 1932 roku. Uznaliśmy, że zarówno ze względów finansowych, jak i po to, żeby podszkolić język, najlepiej będzie zatrzymać się w zwykłym pensjonacie. Niestety, pensjonat na Thurngasse, do którego się wprowadziliśmy, zamieszkiwali głównie amerykańscy studenci medycyny, co nie wróżyło dobrze naszym planom nauki języka. Przeprowadziliśmy się więc do pobliskiego pensjonatu na Hörlgasse.

Oto fragment listu, który napisałem wtedy do rodziców:

Napisałem do wielkiego Wittgensteina. Uczy teraz w Cambridge, w Anglii, ale... prawdopodobnie będzie spędzał wakacje w Wiedniu. Poprosiłam o audiencję u proroka. Zobaczymy czy... odpowie na moją prośbę (nie wie przecież jeszcze, jakim jestem sympatycznym człowiekiem).

Wittgenstein, rzecz jasna, nie odpisał. Wybaczyłem mu to milczenie na wyrost, nie wiedząc jeszcze wówczas, jakie miał zwyczaje. Nigdy osobiście go nie spotkałem.

Zajęcia na uniwersytecie miały się rozpocząć dopiero za siedem tygodni. Ochocho więc skorzystaliśmy z okazji i przekroczyliśmy granicę węgierską i czechosłowacką – byliśmy w Berg i Bratysławie, a trzydziestego sierpnia wsiedliśmy na parowiec *Schoenbrunn* płynący Dunajem do Swisztow w Bułgarii. Z powodu suszy i obniżonego poziomu wody statek był mniejszy niż te, które zazwyczaj pływają na tej trasie, a dodatkowo wypełniony był robotnikami wracającymi z okresowych prac do rodzinnej Serbii i Bułgarii. Przeciskaliśmy się więc ostrożnie pomiędzy leżącymi wszędzie marynarskimi workami i stłoczonymi na pokładzie ciałami. Spaliśmy na wyściełanych ławach w salonie. Po dwóch dniach dotarliśmy do przełomu Dunaju, zwanego Żelazną Bramą, rozciągającego się pomiędzy Rumunią a Jugosławią. Stamtąd łodzią przepawiliśmy się wszyscy przez rafy. Po drugiej stronie – tam, gdzie kończyła się mielizna – czekał już na nas następny parowiec.

Zeszliśmy na ląd w Swisztow. W posępnej dworcowej restauracji w Lewski, dziesięć mil na południe, zapytałem, czy mógłbym gdzieś skorzystać z telefonu

– miał do nas bowiem dołączyć Ed Haskell, który odwiedzał właśnie swoich rodziców w Pordim, leżącym dziesięć mil dalej. Właściciel powiedział, że w tym celu trzeba się udać do miasta. Zapytałem go więc, czy wobec tego moglibyśmy u niego przechować bagaże. Cała rozmowa odbywała się częściowo po niemiecku, który ów człowiek znał bardzo słabo, a częściowo na migi. Mężczyzna potrząsnął głową w prawo i w lewo, więc Naomi została, żeby pilnować bagażu, ja zaś poszedłem do miasta sam. Później dowiedzieliśmy się, że w tych stronach potrząśnięcie głową oznacza potwierdzenie, to zaś, że jego odmowę uznaliśmy za nieuprzejmość, wynikało z naszej ignorancji.

Dziadek Eda przybył tu z Ameryki jako misjonarz w czasach, kiedy Bułgaria była jeszcze terytorium tureckim. Ojciec Eda ożenił się ze Szwedką i kontynuował dzieło swojego ojca, misja zaś stopniowo przekształciła się w szkołę rolniczą. Tam właśnie, w towarzystwie Eda, jego rodziców i brata, spędziliśmy dwa dni.

Chodziliśmy na przechadzki do miasteczka i na spacerzy po równinach, mając przy sobie zawsze sporych rozmiarów kije, żeby odganiać dzikie psy. Widzieliśmy tam kryte darnią szałaszy, a od czasu do czasu okazałej postury pasterzy w kosmatych pelerynach z owczej skóry i w wysokich nakryciach głowy, zrobionych z tego samego materiału, grających na prymitywnych drewnianych fujarkach. Zaniedbane i skudłacone domowe bawoły chodziły po drogach, orały pola i tarzały się gdzie popadło.

Ed wyruszył z nami pociągiem w dalszą drogę. Pokazał nam Sofię i swoje ojczyste Płowdiw, zwane również Filipopolis, miasto o silnie tureckim charakterze, zbudowane na siedmiu wzgórzach. W Edirne, albo jak kto woli w Adrianopolu, położyliśmy się spać na trzech niewygodnie wąskich łózkach; szybko okazało się, że w dwóch są pluskwy, więc koniec końców musieliśmy zmieścić się na jednym. Następnego ranka, myjąc twarz i zęby w znajdującej się na placu fontannie, wzbudziliśmy sensację wśród miejscowych. To właśnie w Adrianopolu po raz pierwszy odkryłem tak dziś popularny *yoghurt*. Głęboki talerz jogurtu posypanego gruboziarnistym cukrem to całkiem dobre śniadanie. Żeby napić się kawy, wystarczyło gwizdnąć na kręcącego się po chodniku mężczyznę, a ten podchodził ze swoim kociołkiem i nalewał z niego do filiżanek małe porcje tureckiego naparu.

Jako dziecko Ed mieszkał przez krótki czas w Salonikach, znajdujących się wtedy pod panowaniem Turków. W piekarni mieszczącej się obok jego domu ładowano bochenki chleba do wojskowych wagonów. Odbywało się to w ten sposób, że bochenki wrzucano jeden po drugim, a żołnierz głośno je liczył – dzięki temu Ed nauczył się liczyć po turecku. Poza tym potrafił powiedzieć „tak”, „nie”, „ile to kosztuje?” oraz „kawa bez...”. Podzielił się ze mną tą swoją wiedzą, ale wciąż nie mieliśmy pojęcia, jak spytać o miejsce, w którym można by dobrze zjeść. Ed zagadywał przechodniów po bułgarsku i niebawem trafił na takiego, który władał dwoma językami. Nauczył on nas tureckiego odpowiednika zwrotu

„Gdzie możemy znaleźć dobre jedzenie?”. Z tej skromnej umiejętności skorzystaliśmy nie raz, zarówno w Adrianopolu, jak i Konstantynopolu. Wprawdzie nie rozumieliśmy odpowiedzi, ale towarzyszące im gesty wystarczały, żebyśmy wiedzieli, dokąd mamy pójść.

W Konstantynopolu, czy też Istambule, zatrzymaliśmy się w małym bułgarskim hotelu o nazwie Yeni Meseret, znajdującym się w starej dzielnicy, którą Turcy nazywają Sirkeci, a ludzie z Zachodu Stambuł.

Zwiedziliśmy Hagia Sofia oraz meczety Achmeta i Sulejmana, a potem zeszliśmy do bizantyjskiej cysterny, ogromnego, wypełnionego wodą podziemnego zbiornika, po którym pływa się łodzią. Jedyne pracownik, odpowiedzialny za wynajem łodzi, zajmował się jakimiś innymi turystami, więc – nie pytając go o zgodę – sami wsiedliśmy do najbliższej wolnej łodzi. I kiedy później dobijaliśmy już do brzegu, podbiegł do nas, wyraźnie wzburzony. Chcąc uniknąć awantury, czym prędzej uciekliśmy po schodach na ulicę i – zostawiając za sobą naszego prześladowcę – wsiedliśmy w pierwszy przejeżdżający tramwaj. Dojechaliśmy nim do Yedi Kule (albo Siedmiu Bram)¹, a potem przespacerowaliśmy się wzdłuż wielkiego bizantyjskiego muru.

Któregoś dnia przepłynęliśmy zygzakiem cieśninę Bosfor, zatrzymując się na przemian to w Europie, to w Azji. W poszczególnych portach spędziliśmy zwykle około godziny i łapaliśmy następny prom. Nie mogłem wyjść z zachwyty, że jestem w Azji. „Patrz, azjatycka koza! Azjatyckie domy!”, pokrzykiwałem co chwila. W mieście Skutari czy też *Uskudar*, w butelkach po coca-coli sprzedawano azjatycki koniak, zwany *konyak*.

Potem – po trzy dolary za sztukę – kupiliśmy bilety do Aten i popłynęliśmy tam genueńskim statkiem *Compidoglio*. Ładunek kozich skór posłużył nam za jako takie poślanie, wprawdzie miękkie i ciepłe, ale niestety śmierdzące. Płynąc, rozpoznawaliśmy i podziwialiśmy kolejne greckie wyspy i przylądki.

Zwieńczeniem wspaniałości Aten były dla nas odwiedziny na Akropolu – z marmurową elegancją Erechtejonu i jego kariatyd. Dorównujący mu urokiem sąsiad, Partenon, miał swoisty odpowiednik w leżącym u stóp Akropolu Tezejonie, który wprawdzie nie mógł się z nim równać, jeśli chodzi o wyrafinowanie, ale przynajmniej zachował się w całości aż do współczesnych czasów. Mieszcząca się pomiędzy nimi stara dzielnica, zwana, jak się dowiedziałem, Plaka, pełna była małych uliczek i białych domków. Cechował ją specyficzny, średniowieczny bliskowschodni urok. W Grecji, nawet przy mizernych finansach, jakimi dysponowaliśmy, mogliśmy sobie pozwolić na prawdziwie luksusowe życie. Piliśmy butelkowane wino i mieszkaliśmy w hotelu, w którym boje chodzili w liberii.

Tajemniczą i skąpaną w chmurach górę Parnas podziwialiśmy z okien pociągu zmierzającego do miejsca, które przybrało nazwę Tessaloniki. Staraliśmy

¹ Quine popełnia tu błąd – prawdziwa nazwa tej budowli brzmi „Siedem Wież”. (Od tłumaczki)

się zajmować cały przedział, tak abyśmy wszyscy mogli się położyć – dwoje na drewnianych ławkach, a jedno pośrodku na podłodze. Z Tessalonik podążyliśmy – przez rzekę Wardar – do Skopje, w młodym królestwie Jugosławii. Skopje znajduje się w jego południowej części, w dawnym królestwie Serbii. Leży na ziemiach starożytnej Macedonii, podzielonych dziś między Grecję, Jugosławię i Bułgarię. Z naszego hotelu w Skopje roztaczał się widok na świeże ruiny po wybuchu bomby – dzieło Komitadži, macedońskich separatystów.

Mojemu zamiłowaniu do przekraczania granic po raz kolejny miało stać się zadość, kiedy wyruszyliśmy do Albanii. W Prizren wynajęliśmy powożoną przez Turka w fezie furmankę, która dowiozła nas do granicy. Południowa Serbia była bardziej turecka od samej Turcji, w Turcji bowiem Mustafa Kemal zakazał noszenia kwefów, czerwonych pantalonów, turbanów i fezów. Ale jugosłowiańscy Turcy wciąż ubierali się tradycyjnie.

Po wyjeździe z Prizren zatrzymali nas żołnierze. Pytali, czemu zamierzamy przekroczyć granicę. Byli bardzo podejrzliwi, bo Komitadži popełniali w okolicy wiele przestępstw, a to, że z całej naszej trójki jedynie Ed był w stanie się z nimi porozumieć – i to po bułgarsku – bynajmniej nie zwiększyło ich zaufania. Macedoński jest jedną z odmian bułgarskiego, a oddziały Komitadži stacjonowały właśnie w Bułgarii. Ostatecznie pozwolono nam jechać dalej, ale żołnierze kazali nam przekazać Turkowi, że dla naszego własnego dobra jeszcze przed zmierzchem powinien odwiedzić nas z powrotem do Prizren. W trakcie drogi do Albanii zatrzymywano nas potem jeszcze wielokrotnie i za każdym razem byliśmy przesłuchiwani przez dowódców. Jeden z nich – już na samej granicy – pozwolił nam na wjazd do Albanii, ale tylko pod takim warunkiem, że do czasu powrotu zdeponujemy u niego wszystkie pieniądze.

Tak więc, bez grosza przy duszy, musieliśmy stawić czoło albańskim strażnikom. Choć posiadaliśmy wizy, które wydano nam w Istambule, powiedzieli, że przepuszczą nas dalej tylko wtedy, jeśli dojedziemy aż do Kukës i tam zameldujemy się na komisariacie policji. To było jednak niewykonalne. Abstrahując nawet od tego, że nasz Turek koniecznie chciał jeszcze przed zmierzchem wrócić do Prizren, na jedzenie i nocleg w Kukës nie mieliśmy przecież pieniędzy. Udało nam się jedynie przekonać strażnika, żeby pozwolił nam wjechać pięćdziesiąt jardów w głąb Albanii – zgodził się, ale mogliśmy tam wjechać tylko z jego osobistą asystą.

Ta granica nie należała do najprzyjemniejszych. Jugosłowiańscy i albańscy strażnicy tylko czekali, aż ktokolwiek nielegalnie ją przekroczy. Wskazując na fortyfikację wznoszącą się na zboczu wzdłuż granicy, albański strażnik stwierdził, że należy ona do Serbów. Albańczycy, podkreślił, są góralami i doskonale sobie radzą bez takich warowni – w przeciwieństwie do zamieszkujących nizinne tereny Serbów. Jednak, pomimo całego napięcia, bosonodzy Albańczycy, w swoich charakterystycznych białych czapeczkach, chodzili po górach, nie zważając na żadne granice.

Była już ciemna noc, kiedy stanęliśmy z powrotem u bram Prizren. Żołnierz złapał za uzdę naszego konia i zaprowadził nas do swojego dowódcy, który umieścił całą naszą trójkę w wybranym przez siebie hotelu. Rankiem zostaliśmy odwiezieni do Uroszewac i wsadzeni do pociągu – z rozkazem, aby go nie opuszczać dopóty, dopóki nie wyjedziemy z Jugosławii.

Ed odłączył się od nas w Nisz, mieście narodzin Konstantyna, i wyruszył z powrotem do Bułgarii. Natomiast Naomi i ja odzyskaliśmy pogodę ducha, podziwiając w Budapeszcie piękne pałace położone nad brzegami rzeki, rozkoszując się *palacsinka* i cygańską muzyką w Cafe Emka na Karoly Kiraly Ut. Budapeszt wyraźnie różnił się od Wiednia. Wiedeńczycy byli bardzo przygnębieni i biedni, a na ulicach miasta spotkać można było wielu żebraków. Budapeszt natomiast tętnił życiem. Różnica ta wynikała częściowo z tego, co stało się z oboma tymi krajami po podpisaniu traktatu wersalskiego: Austrii przypadły głównie tereny górskie, Węgrom zaś żyzne równiny. Ale w grę wchodził również gorący węgierski temperament.

16. Wiedeń

Nasz pensjonat na Hörlgasse w Wiedniu nazywał się Pension Wagner-Szamvald, a jego właścicielami byli Węgrzy. Zaprzyjaźniliśmy się tam z Austriakiem Rudim Sternem i jego irlandzką żoną Verą, która wierzyła w duchy, a nawet posiadała gdzieś pośród swoich rzeczy fotograficzne dowody na ich istnienie. Nie potrafiłem ukryć obrzydzenia, kiedy pewnego razu Rudi wyciągnął stoninę, odkroił kawałek szczyrykiem i zjadł z wilczym apetytem. Nazywał ją *Speck*, ale nie zauważyłem tam ani odrobiny czerwonego mięsa. Niedobór tłuszczu działa bardzo pobudzająco na apetyt. Wraz z nadejściem Bożego Narodzenia przekonałem się, że puszka ananasów była wówczas w Wiedniu bardzo pożądanym prezentem. Podczas uroczystości świątecznych właściciel pensjonatu nauczył mnie również węgierskiego toastu, którego brzmienie – [godəlu:k] – przypominało mi angielskie „Good luck!”.

Z Hörlgasse przeprowadziliśmy się do tańszego, a przy tym większego i wystawnie urządzonego pokoju na Schwarzmanierstrasse. Miałem tam duże biurko. W cenę czynszu, odpowiednika trzydziestu pięciu dolarów miesięcznie, wliczone były śniadanie i obiad serwowane do pokoju oraz obsługa w postaci sprzątanía, dostarczania wody i rozpalania w szwedzkim piecu kaflowym, który znajdował się w pokoju. Cena ta obejmowała również jedną kąpiel na osobę raz w tygodniu – gdzie indziej za możliwość kąpieli trzeba było dodatkowo płacić. Dostaliśmy też własny klucz do budynku, dzięki czemu nie musieliśmy płacić dozorczy czterdziestu groszy za każdym razem, gdy wracaliśmy po dziesiątej wieczorem. Natomiast za opał trzeba było płacić dodatkowo – jakieś sześć centów dziennie. Byliśmy tam jedynymi lokatorami. Gospodyni, Frau von Flesch, utrzymywała się przede wszystkim z tłumaczeń.

Rękopisy owych tłumaczeń były potem wykorzystywane jako papier toaletowy. Jej syn, jak oznajmiła nam z dumą, był *Schriftsteller*. Pomyślałem, że słowo to oznacza wyłącznie samą czynność pisania – wszystko jedno czego. Zdałem sobie jednak sprawę, że podobnie można by rozumieć nasze słowo *writer* (pisarz).

W wiedeńskich domach towarowych windy były po prostu otwartymi kabinami zawieszonymi na linach. Można było do nich wsiąść i wysiąść z nich w dowolnym momencie. Były naprawdę wspaniałe. Windy w domach mieszkalnych wyglądały tak jak w Ameryce, ale żeby z nich skorzystać, trzeba było wrzucić pięć groszy – austriacki grosz był wtedy wart około jednej ósmej centa. W związku z tym, niezależnie od tego, czy budynek był wyposażony w windę, czy też nie, mieszkanie na niższym piętrze i tak zawsze oznaczało oszczędność – pieniędzy albo wysiłku związanego z chodzeniem po schodach. Ta zależność widoczna była w eufemistycznej nomenklaturze. To, co w Ameryce nazywało się pierwszym, drugim, trzecim i czwartym piętrem, w Angli zaś odpowiednio parterem, pierwszym, drugim i trzecim piętrem – było tu określane jako *Parterre*, *Hochparterre*, *Mezanin* i dopiero na końcu *Erster Stock*.

Tamtę jesienią uczęszczałem na uniwersyteckie wykłady Moritza Schlicka – raczej z myślą o podszkoleniu języka niż ze względu na filozofię. Czytałem też różne teksty po niemiecku – początkowo z trudem i z pomocą słownika. Zapisaliśmy się na intensywne kursy niemieckiego dla cudzoziemców, na które chodziliśmy przez miesiąc. Naomi dla początkujących, ja – dla średnio zaawansowanych. Poświęcałem także sporo czasu badaniom logicznym, ale bez większych efektów. Ciągle czekałem na wieści z Harvardu w sprawie mojej książki – minęło już pięć miesięcy, a ja nie otrzymałem od nich żadnej wiadomości, mimo że wysłałem im kilka listów.

Na uniwersytecie nie było żadnych wykładów z logiki. Próbowiałem chodzić na jakieś zajęcia z filozofii oprócz zajęć Schlicka, ale szybko się zniechęciłem. Zajęcia ze Swobodą były na liście, ale się nie odbywały. Inne zajęcia były nieprzewidywalne – profesorowie często się na nich w ogóle nie pojawiali. Rudolf Carnap, główna wiedeńska atrakcja, przeprowadził się do Pragi. Dowiedziałem się natomiast, że istnieje towarzystwo filozoficzne, do którego natychmiast się zapisałem – równie szybko je jednak opuściłem, bo zajmowano się w nim głównie historią metafizyki. Stwierdziłem, że jedyną rzeczą, jakiej mogę się nauczyć w Wiedniu, jest niemiecki. Napisałem więc do Berlina, Getyngi, Warszawy oraz Pragi, żeby się zorientować, czy może tam są jakieś ciekawsze możliwości. W Berlinie nie było czego szukać, jeśli chodzi o logikę, podobnie w Getyndze. Z Pragi otrzymałem serdeczne zaproszenie od Carnapa, który miał zresztą niebawem przyjechać do Wiednia i spotkać się ze mną. Równie ciepłe było zaproszenie z Warszawy od Łukasiewicza: pisał, że on sam, Leśniewski i Tarski zachęcają mnie do przyjazdu. Zapewniał, że odbędziemy wiele dyskusji w prywatnym gronie – w języku, który będzie dla mnie zrozumiały – i na pewno będę z tej wizyty zadowolony pomimo mojej nieznajomości polskiego.

Filozoficzną atmosferę Wiednia odczułem jako lepszą, gdy wreszcie udało mi się porozmawiać ze Schlickiem. Opowiedział mi o swoim kole – które przeszło do historii jako Koło Wiedeńskie – i zaproponował, bym regularnie przychodził na jego spotkania. Poszedłem tam następnego dnia – tak się bowiem złożyło, że wypadało wtedy akurat jedno z cotygodniowych zebrań. Wśród obecnych wtedy członków było czterech matematyków. Jednym z nich był młody Gödel, który rok wcześniej opublikował swoje mało spektakularne, ale z całą pewnością przełomowe twierdzenie o niezupełności teorii liczb. Pozostali to Karl Menger, Hans Hahn i jego siostra Olga, która była żoną Neuratha. Jego tam jednak nie było, bo wyjechał do Moskwy; spotkałem go dopiero siedem lat później. Olga była niewidoma, paliła długie, cienkie, zakrzywione cygaretki marki Virginien, ze słomkowymi ustnikami. Z obecnych wtedy filozofów zapamiętałem jedynie Schlicka i Waismanna. Friedrich Waismann był „privatdozentem”, co oznaczało, że zarabiał niewiele, jego pensja zależała bowiem od tego, ile w danym roku prowadził zajęć. Schlick pozwolił mu prowadzić swoje proseminarium i, jak głosiły plotki, płacił mu za to dodatkowo z własnej kieszeni. Owego wieczoru Waismann wygłaszał referat o *Logic of Modern Physics* Bridgmana.

Carnap rozchorował się zaraz po przyjeździe do Wiednia. Odwiedziłem go w szpitalu i ustaliliśmy, że przyjadę do Pragi pierwszego marca. Tymczasem chodziłem nadal na wykłady i na początku stycznia rozumiałem już każde słowo – a jeszcze na początku listopada z trudem rozumiałem połowę.

Dwudziestego stycznia miałem wystąpienie w Kole Wiedeńskim. Przedstawiłem po niemiecku streszczenie mojej rozprawy doktorskiej. Najpierw półtorej godziny mówienia i pisanie na tablicy, a następnie ożywiona dyskusja. Miałem straszną treść, więc kiedy było już po wszystkim, kamień spadł mi z serca. Na owym spotkaniu poznałem Freddiego Ayera, obecnie znanego jako Sir Alfred. Dopiero co ukończył studia na Oksfordzie pod kierunkiem Gilberta Ryle’a i wraz ze swoją żoną Renée, znaną później jako Lady Hampshire, przyjechał na kilka miesięcy do Wiednia. Freddie znał biegle francuski, jego niemiecki był jednak słaby, dlatego pożyczył ode mnie tekst mojego doktoratu, żeby uzupełnić sobie to, czego z referatu nie zrozumiał.

W ciągu następnych pięciu tygodni Naomi i ja często spotykaliśmy się z Ayerami. Renée niedawno odbyła podróż dookoła świata. Amerykę Północną przejechała na motorze, zahaczając również o Meksyk. Ona i Freddie byli wyjątkowo sprawni, jeśli chodzi o zakupy i gotowanie. Wydając dwa lata później głośną książkę *Language, Truth, and Logic*, Ayer stał się w kręgu anglojęzycznym najbardziej znanym propagatorem idei Koła Wiedeńskiego.

Wreszcie przyszły wieści z Harvardu o mojej książce, ale nie były dobre. Okazało się, że środki na jej wydanie stopniały, wymyśliłem więc uproszczoną notację, żeby zmniejszyć koszty druku. Wiązało się to z przygotowaniem na nowo pięćdziesięciu stron i wprowadzeniem zmian w kolejnych dwudziestu pięciu.

Pośród malutkich uliczek wiedeńskiej starówki mieści się stary pałac cesarski, Hofburg. Tamtędy biegł szlak naszych częstych wędrówek do American Express Co. Trasa ta nigdy nie była monotonna. Od czasu do czasu robiliśmy też dłuższe – nawet osiemnastomilowe – piesze wycieczki: po Lesie Wiedeńskim, do wysoko położonego Kobenzl, by podziwiać widoki, albo do barokowego opactwa Kloster Neuburg. Wycieczki poza Wiedeń zwykle wyglądały tak, że najpierw jechaliśmy tramwajem, a potem spacerowaliśmy. To właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, jak niezwykle jest wiedeński dialekt. Przedtem wydawało mi się, że składa się on po prostu z kosmopolitycznego wiedeńskiego akcentu i kilku swoistych słów. Okazało się jednak, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana.

Rodzina Liechtensteinów miała rozległe wpływy w Wiedniu na długo przed tym, kiedy w 1719 roku powstało ich małe księstwo nad Renem. Należący do nich dwunastowieczny zamek wznosi się wysoko na urwistych skałach na południe od Wiednia, a jego pionowe ściany są najeżone wieżyczkami i rzeźbionymi balkonami. W swojej smukłości wydaje się tak kruchy, że aż trudno uwierzyć, iż jego budowa jest tak solidna.

Schlick powiedział, że za kilka dni – dwudziestego ósmego lutego – Hans Reichenbach przyjedzie najprawdopodobniej z Berlina z wizytą do Wiednia, i że jeśli chcemy go poznać, możemy wpaść do Schlicka koło ósmej. Tego samego dnia mieliśmy pociąg do Pragi, który z powodu strajku austriackich kolei miał odjechać dopiero o północy. W Europie ósma była dość nietypową godziną, jak na tego rodzaju wizytę, ale – powiedzieliśmy sobie – ostatecznie Schlick mieszkał przez długi czas w Ameryce i ożenił się z Amerykanką. Zawieźliśmy więc nasz całoroczny bagaż na dworzec, zjedliśmy coś w pośpiechu i o ósmej stawiliśmy się w mieszkaniu Schlicka. Okazało się, że – pomimo niezobowiązującej formy zaproszenia – było to oficjalne przyjęcie dla około dwudziestu osób. Z trudem przełknęliśmy drugą kolację, ale zrobiło nam się rażniej, gdy zobaczyliśmy, że Reichenbach również nie jest w stroju wieczorowym.

Potem wsiedliśmy do nocnego pociągu i przekroczyliśmy granicę. Wczesnym rankiem czekaliśmy dwie godziny na następny pociąg, ale go przegapiliśmy, bo nie zrozumieliśmy zapowiedzi w języku czeskim. Do Pragi dotarliśmy dopiero późnym popołudniem.

17. Praga i dalej

*Its longitude's very uncertain,
Its latitude's equally vague,
But there ne'er was a city
So wise or so witty
As the beautiful city of Prague.*

*Gdzie leży, nie każdy pamięta,
I trafić nie każdy tam chce,
Ale warto żyć dla Pragi,
Jej dowcipu i rozwagi,
Bo piękniej jest tylko we śnie.*

Cytuję ten limeryk tylko dlatego, że usłyszałem go od Whiteheada. Praga jest rzeczywiście pięknym starym miastem, ale nasze początki w niej były trudne. Wykończeni po podróży, wyruszyliśmy na – jak się potem okazało – czterodniowe poszukiwania taniego i w miarę przyzwoitego miejsca, w którym moglibyśmy się zatrzymać. Chodziliśmy po ulicach i zaglądaliśmy do każdego domu, na którym wisiało ogłoszenie o wynajmie pokoiów. Pierwszego dnia wylądowaliśmy w jakimś tanim hotelu, ale rano znów kontynuowaliśmy poszukiwania. Pod koniec trzeciego dnia znaleźliśmy mały pokój, przewieźliśmy do niego z dworca bagaże i ciesząc się, że to wreszcie koniec naszej tułaczki, jeszcze przed pójściem spać rozpakowaliśmy się i poukładaliśmy nasze rzeczy. Niestety, kiedy wreszcie położyliśmy się do łóżka, zaatakowały nas pluskwy. Następnego ranka znów musieliśmy rozpaczliwie szukać pokoju. Wreszcie znaleźliśmy czysty, ale dość skąpo umeblowany pokój na szóstym piętrze w Pension Fišer, Na Patreska 3, położonym w obrębie malowniczego *Staré Město*. Nie było tam windy, ale piętra, w przeciwieństwie do tych w Wiedniu, były na szczęście niezbyt wysokie.

Następnego, niesławnego, dnia za granicą Hitler doszedł do władzy. Cieszyliśmy się, że jednak nie pojechalismy do Getyngi. Nikt jeszcze sobie wtedy w pełni nie wyobrażał okropności, jakie przyniesie nazizm, ale w Wiedniu mogliśmy już poczuć ich przedsmak. Ulice były czasami wręcz zaśłane rozrzuconymi przez demonstrantów ulotkami ze swastykami, a na ścianach widniały wymalowane przez nich napisy: „*Juda dein Ende*” i „*Kauft nich bei Juden*”.

Byliśmy wręcz przytłoczeni serdecznością Carnapów. Jeszcze przed naszym przyjazdem Carnap pisał do mnie dwukrotnie – udzielił mi wszystkich potrzebnych informacji i przysłał mapę. Kiedy następnego dnia po przyjeździe byłem na jego wykładzie, zaprosił nas do swojego domu. Natomiast jego żona Ina, wiedenka, kiedy tylko usłyszała o naszych kłopotach z mieszkaniem, przez trzy godziny chodziła z nami po ulicach w poszukiwaniu lokum, rozmawiając swoim łamanym czeskim z właścicielkami pensjonatów.

Sala, w której wykładał Carnap, znajdowała się w instytucie fizyki, Na Venecna. W sali tej wykładał niegdyś Einstein. Carnap dzielił ową salę oraz dawne biuro Einsteina z Phlipem Frankiem, który po Einsteinie objął stanowisko. Byłem na jednym z wykładów Franka z zakresu hydrodynamiki. Ponadto Naomi i ja zjedliśmy kolację z Frankiem i jego śliczną żoną Hanyą, Ukrainką, w ich mieszkaniu na Srbska Ulic, w nowej, wysoko położonej dzielnicy o nazwie Bubeneč. Frank powiedział mi wtedy, że jestem pierwszym Amerykaninem, jakiego poznał – nie wiedział jeszcze, że za sześć lat sam stanie się mieszkańcem Ameryki.

Chętnie chodziłem na wykłady Carnapa. Przedstawiał na nich swoją *Logiche Syntax der Sprache*, którą Ina przepisywała na maszynie. Carnap na bieżąco pożyczal mi gotowe partie maszynopisu. W dniach wolnych od wykładów odwiedzaliśmy ich wraz z Naomi – mieszkali na Pod Homolkou, niedaleko linii tramwajowej w zachodniej części Pragi. Carnap i ja omawialiśmy jego koncepcje, a Ina

i Naomi rozmawiały o swoich sprawach. Naomi zawsze protestowała, kiedy Ina namawiała nas, byśmy zostali na kolację, ale Ina dosłownie rozbrajała ją pytaniem: „Ale cóż takiego złego się stanie, jeśli zostaniecie?”. Więc zostawaliśmy. Było też z góry wiadomo, że po kolacji mogliśmy prowadzić tylko luźne rozmowy – „żadnej nauki” – w przeciwnym bowiem razie Carnap nie mógł w nocy spać. Był dużym mężczyzną, genialnym i pełnym taktu, prowadził bardzo zdrowy tryb życia. Nie używał ani alkoholu, ani tytoniu. Nie pił nawet kawy.

W czasie pobytu w Pradze wiedeńska nauka niemieckiego zdecydowanie zapracowała, bo wszystkie rozmowy z Carnapem toczyłem właśnie po niemiecku. Po raz pierwszy poczułem tak silną intelektualną łączność z kimś ode mnie starszym, kto był zarazem prawdziwie wybitnym umysłem. Było to też jedno z najbardziej doniosłych doświadczeń – po raz pierwszy źródłem inspiracji stał się dla mnie żywy człowiek, prawdziwy mistrz, a nie książki. Gdyby nie Carnap, miałbym zapewne równie ponurą wizję uniwersytetu, co większość: że należy z szacunkiem słuchać starszych, uczyć się pilnie, zgadzać się bądź nie zgadzać z tym, co głoszą, i nauczyć się polegać przede wszystkim na sobie i na tym, co można znaleźć w bibliotekach. Profesorowie mają przecież swoje własne sprawy, które niekoniecznie muszą łączyć się z kwestiami, które interesują studentów. Miałem nadzieję, że kiedyś zostanę profesorem, i sądziłem, że będzie to mniej więcej tak właśnie wyglądało. Trwałem w tym przekonaniu do czasu, kiedy spotkałem Carnapa².

Carnap sprezentował mi oprawione w płótno wydanie swojego wielkiego dzieła *Logischer Aufbau der Welt*, małą książkę *Abriss der Logistik* i mnóstwo artykułów. Na jego seminarium wygłosiłem ponownie swój referat z Wiednia. Pewnego dnia, za ironiczną radą Carnapa, poszedłem do Clementinum posłuchać Oskara Krausa, przeciwnika Koła Wiedeńskiego i Einsteina. Innego z kolei dnia u naszych drzwi stanął niespodziewanie Ed Haskell, który zapuścił wspaniałą, rudą brodę. Bardzo się zdziwiliśmy. Ed na kilka dni wynajął nieopodal pokój, dzięki czemu mogliśmy wspólnie nadrobić zaległości w zwiedzaniu, wysłuchując przy okazji jego rodzących się właśnie teorii.

Z Harvardu nadeszły kolejne złe wieści w sprawie mojej książki. Bardzo mnie to zmartwiło. Co zaś z perspektywą zatrudnienia? Ralph Barton Perry, nowy przewodniczący, wykazywał się w tej sprawie nader umiarkowanym optymizmem. Nagle nadszedł jednak telegram od Whiteheada, telegram, który rozwił wszystkie zmartwienia i okazał się spełnieniem wszystkich moich najszybszych pragnień. Przyjęto mnie do nowo powstałego harwardzkiego Society of Fellows, które miało rozpocząć działalność jesienią. Oznaczało to solidne stypendium przez najbliższe trzy lata, różne dodatkowe granty oraz całkowitą wolność, jeśli chodzi o badania, które zamierzałem prowadzić.

² Zaczepnąłem tu pół strony z drugiego wydania mojej książki *Ways of Paradox*.

Dlatego właśnie, kiedy 6 kwietnia 1933 r. wsiadaliśmy do pociągu, który miał nas zawieźć na południowe wakacje, byliśmy bardzo szczęśliwi. Mój włoski był bardzo słaby, więc – żeby go podszlifować – jeszcze w Pradze kupiłem słownik. Był to *Sprachführer* wydany przez Langenscheidta – czytałem go przez całą drogę. To był wyjątkowo dziwny sposób na naukę włoskiego. Wyobraźcie sobie tylko – miękkie, włoskie *c* i *g* fonetycznie zapisywane tradycyjną, kanciastą, niemiecką czcionką jako *tsch* i *dsch*.

Ponownie odkrywaliśmy uroki Wenecji. Byłem zachwycony krótkimi, zwięzłymi rozmowami z mieszkańcami miasta, których pytałem o drogę w języku, którego właśnie się uczyłem. „So”. „Sa?” „Si” („Wiem”, „Wiesz?”, „Tak”). Zwiedziliśmy Padwę, Ferrarę, Rawennę i Rimini. Najbardziej spodobała nam się Rawenna – jej surowe, proste, wczesnochrześcijańskie mozaiki. Potem udaliśmy się do San Marino, które urzekło nas tak samo, jak przed czterema laty. Kiedy już odświeżyliśmy wszystkie swoje dobre wspomnienia z Borgo i ze stolicy, ruszyliśmy do wioski Faetano położonej w południowo-wschodniej części owej malutkiej republiki. Droga obfitowała w kręte ścieżki, skaliste szlaki, pola i wyschnięte koryta strumieni. O zmierzchu dotarliśmy do wioski położonej na szczycie góry. Mieszkańcy stali na środku i słuchali niemieckiej audycji radiowej. Pytali mnie, o czym w niej mowa. Była to bajka dla dzieci. W wiosce nie było hotelu, więc na noc wróciliśmy do stolicy.

Nie potraktowaliśmy Rzymu tak, jak na to zasługiwał – uciekliśmy stamtąd prędko, bo trwał właśnie Wielki Tydzień i obchody tysiącdziewięćsetnej rocznicy ukrzyżowania. Przed dziewiątą wieczorem byliśmy w Neapolu, na próżno szukając hotelu, który nie byłby ani brudny, ani zbyt drogi, ani przepełniony gośćmi. O północy wsiedliśmy więc do pociągu jadącego w stronę Sycylii – na stacji wypożyczyliśmy poduszki (dziesięć centów za sztukę) i wygodnie zasnęliśmy na drewnianych ławkach. O świcie ujrzelśmy górzyste i pełne zamków wybrzeże Kalabrii, z której promem popłynęliśmy na Sycylię. Zatrzymaliśmy się w Taorminie. Nawet w porównaniu z wyprawą do Asyżu była to dość karłowata wycieczka.

Na zboczach Etny spotkaliśmy młodego niemieckiego antropologa z Trewiru. Był na wakacjach – starannie opracowaną trasę przemierzał z plecakiem. Kiedy przebywaliśmy na Bałkanach, zdarzało nam się targować i nabyliśmy w tej sztuce pewnego doświadczenia, ale on zademonstrował nam jej absolutne wyżyny. Kiedy już nie chcesz dać więcej – radził – połów całą kwotę na dłoni, a potem kładź ją, moneta po monecie, na kupieckiej ladzie. To skruszy serce nawet najbardziej skąpego sprzedawcy. Ta metoda zawsze działa, twierdził. Przekonywał nas także, że o tej porze roku w tutejszych trattoriach najbardziej opłaca się jadać jajka i karczochy. Z radością skorzystaliśmy z jego porad. Rozstaliśmy się z nim w porcie w Katanii – dogadał się tam z greckimi marynarzami, że za małe pieniądze zabiorą go w rejs po Morzu Jońskim.

W Syrakuzach – w drodze na czwarty i najciemniejszy kontynent – kupiliśmy najtańsze bilety na statek *Città di Palermo* płynący do Libii. Były tam oddzielne sale sypialne dla kobiet i mężczyzn, a na kojach leżały grube, jutowe pledy. Każdy dostawał aluminiowy talerz, z którym podchodziło się do okienka, w którym podawano *pasta*.

Trypolis: wąskie uliczki, Arabowie, Berberowie, czarni Sudańczycy, fezy, turbany, burnusy, welony. Niektórzy mężczyźni – Tuaregowie, jak sądzę – chodzili z zakrytymi twarzami. Duża płócienna płachta służyła im jednocześnie za kaptur, zasłonę na twarz i pelerynę. To białe arabskie miasto rozciągało się od włoskiego wybrzeża, w głąb lądu, aż do pełnej wielbłądów pustyni. W sklepie, prowadzonym przez groźnie wyglądającego Berbera w czerwonej szarfi, skosztowałem palmowego wina. Berber polewał je do kubka z wielkiej urny – jej szyjkę zatykał potem włóknem kokosowym. Na targu zjedliśmy jajka i ziemniaki otoczone cienkim, delikatnym ciastem, ugotowane w oleju. Spędziliśmy tam siedem godzin, a potem ponownie wsiedliśmy na statek i popłynęliśmy na Malte.

Maltańskie kobiety nosiły obszerne kaptury, wyglądające jak baldachimy na drucianych ramach. Mówi się, że język, którym posługują się Maltańczycy – zawierający w piśmie ogromną ilość liter *q* i *x* w zupełnie niespodziewanych miejscach – jest dialektem arabskiego z silnymi angielsko-włoskimi wpływami. Później dowiedziałem się, że eksperci wywodzą go z punickiego. Jakiś czas potem George Hanfmann powiedział mi też, że właśnie wtedy odkryto tam sensacyjne pozostałości z epoki neolitu. Nas jednak najbardziej zachwyliło stare, górujące nad wyspą i otoczone murem miasto Medina, zwane też *Città Vecchia*.

Wróciliśmy na Sycylię – do emanujących beczasowym spokojem nadmorskich greckich świątyń w Akragas, nierównego i poszarpanego wnętrza wyspy oraz uporządkowanego przepychu Monreale. Wspaniały pałac w Palermo i malutki klasztor San Giovanni degli Eremiti zachwycały swoją arabsko-normańską eklektycznością. Dzień zepsuł mi jednak faszystowski żołnierz, który zagroził nam drogę bagnetem, kiedy zbliżaliśmy się do klasztoru.

Popłynęliśmy do Neapolu, odwiedziliśmy Pompeje i nadrobiliśmy zaległości w Rzymie, kompulsywnie zwiedzając wszystko, co tylko się dało – w trzy dni. Utrzymując to samo tempo, na zwiedzanie Florencji poświęciliśmy półtora dnia – i byliśmy w pełni usatysfakcjonowani. Przyjęliśmy specjalną technikę. Maszerowaliśmy, robiąc przerwy wyłącznie wtedy, kiedy było coś do oglądania. Idąc, zjadaliśmy również lunch, składający się z chleba, sera, salami i ciastek. I dopiero po zmroku siadaliśmy do większego posiłku.

W końcu – Bolonia, Werona, a potem wprost do Wiednia, gdzie spędziliśmy wieczór na Hörlgasse, w towarzystwie Rudiego i Very Sternów.

18. Warszawa i dalej

5 maja 1933 roku wyruszyliśmy pociągiem z Wiednia do Warszawy. Jechał szybko i zatrzymywał się tylko na kilku stacjach. Nasz całoroczny bagaż upchany był pod drewnianymi ławkami i na półkach. W przedziale towarzyszyło nam dwóch sympatycznych młodych ludzi, z którymi rozmawialiśmy po niemiecku. Kiedy przyszedł kelner, kupiliśmy od niego herbatę, podawaną w szklankach. Potem, kiedy pociąg zwalniał przy kolejnej stacji, nasi towarzysze zaalarmowali nas, że natychmiast musimy się przesiąść. Jeden z nich zaoferował mi pomoc w wydobyciu naszej ogromnej walizki spod siedzenia. Wydawało nam się cokolwiek dziwne, że właśnie w tej chwili trzeba się przesiąść, ale nie było czasu na zadawanie pytań. Ku naszemu jeszcze większemu zdziwieniu, mężczyźni nagle stwierdzili, że jednak powinniśmy zostać w pociągu, sami zaś szybko wysiedli. Pociąg zawiózł nas prosto do Warszawy.

Dopiero w Warszawie zorientowałem się, że nasi współpasażerowie wysiedli razem z moim portfelem. Widzieli, że kiedy płaciłem za herbatę, schowałem portfel do kieszeni spodni. Cała ta historia z pomocą w przenoszeniu walizki posłużyła wyłącznie za pretekst, żeby w odpowiednim momencie jeden z nich mógł niepostrzeżenie ukraść mi portfel. To był zaiste szczyt techniki złodziejskiej. Moja teoria potwierdziła się w pełni, kiedy portfel odnalazł się w warszawskim biurze American Express – brakowało wprawdzie tych kilku złotych, które w nim miałem, ale wszystkie czeki podróżne pozostały na miejscu. Wrzucono go do kolejowej pocztowej skrzynki na trasie do Łodzi.

Po czternastogodzinnej podróży, równo o północy, wysiedliśmy w Warszawie, a o trzeciej po południu zameldowaliśmy się w pierwszym napotkanym hotelu.

Łukasiewicz był do tego stopnia troskliwy, że przewidział wszystko w najdrobniejszych detalach. Domyślił się, że zaraz po przyjeździe zadzwonię do agencji Orbis z pytaniem o ewentualną korespondencję na moje nazwisko, i uzgodnił z nimi, że dadzą mu znać, kiedy tylko się do nich odezwę. Właśnie dzięki temu już w południe następnego dnia spotkaliśmy się z Łukasiewiczami w kawiarni. Potem zaprosili nas do siebie i podczas gdy ja z Łukasiewiczem rozmawialiśmy o logice, jego żona próbowała przez telefon rozwiązać nasze problemy mieszkaniowe. Zostaliśmy u nich na obiad – który w Polsce jada się około czwartej po południu – a potem dołączył do nas Leśniewski. Ci dwaj profesorowie byli sąsiadami, mieszkali w siedemnastowiecznej części Warszawy, tak zwanym Starym Mieście, jednej z najbardziej malowniczych dzielnic tego miasta. Rozmawialiśmy przez kolejne dwie godziny, w tym czasie zaś Naomi i pani Łukasiewicz, której nie udało się nic załatwić telefonicznie, wybrały się do miasta w poszukiwaniu dla nas jakiegoś lokum. Udało im się jednak znaleźć tylko jakieś brudne i drogie pokoje. W końcu Łukasiewicz zadzwonił do hotelu i zarezerwował nam pokój na jedną noc. Następnego dnia – z ich pomocą – mieliśmy kontynuować poszukiwania.

Spędziliśmy z nimi osiem godzin. Kiedy w końcu dotarliśmy do hotelu, okazało się, że cena, którą podano Łukasiewiczowi, była ceną za jedną tylko osobę; ruszyliśmy więc – w środku nocy – w poszukiwaniu czegoś innego. Zatrzymaliśmy się w hotelu Victoria, przy ulicy Jasnej 26, i to miejsce stało się naszym domem na czas całego pobytu w Warszawie. Mieliśmy tam mały pokój z wąskim łóżkiem i – co opisałem w liście do rodziców – „w porównaniu z cenami za trzytygodniowy pobyt w innych europejskich krajach opłata była bardzo wysoka”. Jak wysoka? Siedemdziesiąt centów za noc. *Eheu*, znowu, *fugaces*.

Naomi dostała zakażenia w nodze. Rozwijało się błyskawicznie. Za pośrednictwem amerykańskiego konsula skontaktowałem się z lekarzem, ale niestety nie byłem w stanie dogadać się z nim w żadnym ze znanych mi języków. Kiedy tylko o całej sprawie dowiedział się Łukasiewicz, natychmiast zawiózł Naomi do szpitala i załatwił jej najlepszą opiekę.

Kiedy Naomi była w szpitalu, stołowałem się głównie w dzielnicy żydowskiej, ponieważ jako tako rozumiałem jidysz, który na podstawowym poziomie podobny jest do niemieckiego. Jadałem również z Tarskim i jego żoną Marią – w ich mieszkaniu na dolnym Żoliborzu (Jolis Bords). Pewnego razu otrzymałem zaproszenie na obiad także od Leśniewskich – na *Sonnabend*. Specyficzny zwrot, pomyślałem sobie: dlaczego *Sunday evening*? Ale w niedzielę rano dopadła mnie nagle myśl: a co jeśli chodziło o *Sunday eve*³, czyli sobotę? Słownik potwierdził moje obawy, ruszyłem więc na Stare Miasto przeprosić za nieobecność. Dotychczas jedynym znanym mi niemieckim określeniem soboty było *Samstag*.

Przychyłość, jaką okazał nam Łukasiewicz, była niezwykła, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że był on niekwestionowanym autorytetem wśród polskich logików oraz dawnym ministrem edukacji w rządzie Paderewskiego. Leśniewski i Tarski również nie szczędzili nam czasu i uprzejmości. Pewnego dnia, po czterogodzinnych wykładach, spędziłem wiele godzin, dyskutując z Tarskim, Lindenbaumem i innymi, na jednym z seminariów poświęconych logice. Następnego dnia, w domu u Leśniewskiego, dyskutowałem z nim od dziesiątej do drugiej, a potem wraz z Naomi od piątej do jedenastej spędzaliśmy czas z Łukasiewiczami. Piliśmy herbatę i rozmawialiśmy, a potem słuchaliśmy muzyki i kontynuowaliśmy rozmowę w eleganckiej kawiarni. Nazajutrz ponownie spędziliśmy z Łukasiewiczami dziewięć godzin – najpierw byliśmy na koncercie (to był jedyny raz, kiedy ja zapłaciłem), potem obiad u nich, a na końcu spacer brzegiem Wisły na Pragę, gdzie przypadkowo trafiliśmy na rosyjskie wesele.

Regularnie chodziłem na niezwykle inspirujące, ambitne seminarium Tarskiego, na którym – ze względu na mnie – mówiono po niemiecku i francusku. Uczęszczałem także na wykłady Leśniewskiego. Tam również nie miałem kłopotów z rozumieniem – Leśniewski głównie zapisywał na tablicy logiczne formuły.

³ „Wigilię niedzieli”. (Od tłumaczki)

Bywałem także na dwugodzinnych (z przerwą) wykładach Łukasiewicza. Wszystko, co wykraczało poza uniwersalny zapis logiczny, Łukasiewicz streszczał mi po niemiecku – przed albo po wykładzie, bądź też w trakcie przerwy.

Dyskusje z tymi trzema serdecznymi ludźmi oraz lektura artykułów po niemiecku i francusku, którymi dosłownie mnie zasypywali, zajmowały mi tyle czasu, że nie miałem kiedy uczyć się polskiego. Z Leśniewskim kłóciłem się niekiedy do późnej nocy, próbując go przekonać, że jego system logiki nie jest w stanie uniknąć – wbrew temu, co on sam sądził – założenia o istnieniu obiektów abstrakcyjnych. Ontologia była tym, co interesowało mnie wówczas najbardziej.

Poznałem Kotarbińskiego, Ajdukiewicza, Kuratowskiego, Sobocińskiego i Jaśkowskiego. Sobociński, szczupły i słabowity, mówił tylko po polsku i rosyjsku, więc Leśniewski spełniał rolę tłumacza, przekładając jego słowa na niemiecki. Później jednak Sobociński został amerykańskim profesorem z prawdziwego zdarzenia. Jaśkowski, który postanowił napisać swoją pionierską pracę o naturalnej dedukcji po angielsku, pomagałem w pisaniu.

Na seminarium Tarskiego wygłosiłem referat, który był powtórzeniem tego, co wcześniej wygłaszałem w Wiedniu i Pradze. Moje idee ulegały jednak zdrowej ewolucji, byłem bowiem teraz na bieżąco z tym, co aktualnie działo się w logice. Wcześniej czułem się rozgoryczony z powodu przeciągającego się wydania mojej książki na Harvardzie, ale pod wpływem niezwykle ożywczej i twórczej warszawskiej atmosfery niespodziewanie ucieszyłem się z tego opóźnienia. Nowe myśli płynęły strumieniami, niektóre świeżo narodzone, inne wydobyte z nieświadomości, do której być może wcześniej je wyparłem. W pociągu odjeżdżającym z Warszawy o północy, na przełomie maja i czerwca, zaczęły mi się rysować zupełnie nowe perspektywy.

Pociąg podążał na północ. Dotarliśmy do Królewca – bo tak w czasach Kanta i również mojej młodości nazywał się Kaliningrad. Nazistowskie Niemcy zaczynały się już zbierać. Niebawem minęliśmy Tylżę, przejechaliśmy Niemen, dotarliśmy aż do pokojowej, choć skazanej na zły los Litwy i zajechaliśmy do Kłajpedy, *quondam* Memel.

W porcie stał radziecki frachtowiec. Można się do niego było dostać tylko wiosłową łodzią, ale zacumowaną tak daleko, że nie mogliśmy do niej wsiąść. Poprosiłem więc jednego z chłopców bawiących się liną rozciągniętą nad wodą, żeby ją podprowadził. W ten sposób doплыliśmy na pokład rosyjskiego frachtowca. Marynarze palili papierosy skręcone z gazet. Kapitan znał niemiecki i ustaliłem z nim, że zabierze nas do Helsinek i do Leningradu. Cena, jakiej zażądał, była, jak na tamte czasy, bardzo niska – nawet dla mnie. Trafiła nam się więc prawdziwa okazja. Problem polegał na tym, że potrzebowaliśmy wiz. Chcieliśmy je sobie wyrobić, ale powiedziano nam, że trzeba będzie na nie czekać aż miesiąc.

Ograniczyliśmy się wobec tego do podróży pociągiem na Łotwę. I to tylko do leżącego niedaleko granicy miasta Priekule. Zatrzymaliśmy się tam w małym

drewnianym hoteliku i zjedliśmy niespiesznie posiłek w pobliskiej restauracji. Kiedy wróciliśmy do hotelu, okazało się, że drzwi są zamknięte, musieliśmy więc poprosić, żeby nas wpuszczono. Byliśmy zdumieni, kiedy okazało się, że jest północ, bo dopiero co zrobiło się ciemno. Zaledwie jeden dzień wcześniej byliśmy w Kłajpedzie, nasza szerokość geograficzna zmieniła się zaledwie o sto mil, ale efekt był taki, jakbyśmy znaleźli się na drugiej półkuli. Nigdy wcześniej nie byłem tak daleko na północy i dopiero dwadzieścia sześć lat później wybrałem się ponownie w tamte strony.

Następne miejsce, do którego się udaliśmy – Gdańsk (Danzing) – było kolejną pozycją w mojej ulubionej kolekcji miniaturowych państw. Było większe od Andory, którą chciałem odwiedzić w przyszłości, ale mniejsze od Luksemburga. Zajrzeliśmy do Kwidzyna (Marienwereder), a także do położonych na wybrzeżu Neufahrwasser i Sopotu (Zoppot). W Gdańsku podziwialiśmy zdobione hanzeatyckie domy w bogatym centrum tej dostatniej starej stolicy. Wszystkie wspaniałości zostały parę lat później zniszczone, a wolne miasto przeszło do historii. W czasie, kiedy piszę te słowa, „Solidarność” tworzy tam nowy rozdział w historii.

W Stettin – jak nazywaliśmy Szczecin – wsiedliśmy na statek płynący do Kopenhagi. Gdy statek kierował się w stronę otwartego morza, grupa znajdujących się na pokładzie młodych Niemców zaintonowała harmonijnie „Lorelei”.

W Kopenhadze, w mieście jak spod igły, zatrzymaliśmy się w małym hotelu na nabrzeżu Nyhavn. W łóżku zaatakowały nas pluskwy. Kierownik hotelu dość przekonująco tłumaczył, że za ich obecność odpowiedzialny jest marynarz-cudzoziemiec, który wcześniej nocował w naszym pokoju. Kiedy już w przyspieszonym tempie obejrzelśmy przypominające kształtem korkociąg wieżyczki i ogrody Tivoli, wsiedliśmy na prom do Malmö i w ten sposób znaleźliśmy się w kolejnym kraju – w Szwecji. Był to wtedy trzydziesty kraj, który odwiedziłem, a wkrótce miałem odwiedzić dwa następne. Całkiem niezły bilans jak na dwudziestotrzyletniego młodzieńca. Dziś, jako człowiek siedemdziesięciopięcioletni, mogę się pochwalić, że byłem w 113 krajach. W Malmö nie było jednak żadnych szczególnych atrakcji – gdybyśmy wiedzieli o tym wcześniej, przespacerowalibyśmy się do położonego parę mil dalej Lund.

Z Kopenhagi popłynęliśmy nocnym parowcem do Lubeki. Jak zwykle płynęliśmy najtańszą klasą i spaliśmy w hamakach. Morze było wzburzone i kiedy wieczorem zaczęliśmy pogawędkę, lekko się w nich bujając, poczuliśmy, że za chwilę dopadnie nas choroba morska. Wyszliśmy więc na pokład i tam zacząłem objaśniać Naomi dowód Cantora na to, że liczb niewymiernych jest więcej niż wymiernych. Naomi musiała się skoncentrować, by zrozumieć moje objaśnienia, ja zaś musiałem się skoncentrować, żeby przystępnie przedstawić ów dowód. I dzięki temu mdłości nam minęły. Było to autentyczne zwycięstwo ducha nad materią.

Kiedy przechadzaliśmy się po Lubece, jakiś zdrowo wyglądający cwaniak poprosił mnie o pieniądze. Odmówiłem, on zaś odpowiedział na to złowrogim

tonem, że nadchodzą nowe Niemcy, a dla Ameryki przyjdą ciężkie dni. Oto, pomyślałem, stoją właśnie przede mną te nowe Niemcy.

Do naszej listy dopisaliśmy kolejny kraj – udaliśmy się pociągiem do Holandii. W Winschoten, mieście schludnych domków z drobnej cegły, wybraliśmy sobie schludny hotel z drobnej cegły i chcieliśmy się w nim zameldować. Recepcjonista był jednak niezbyt miły i odmówił nam kwaterek. Później dotarło do mnie, że zachowywał się tak, ponieważ mówiłem po niemiecku – pomyślał więc, że jesteśmy Niemcami.

Wsiadliśmy zatem w pierwszy powrotny pociąg do Niemiec. Kiedy, podczas postoju w Nieuwe Schans, duńskim mieście granicznym, wybiegłem na stację kupić pocztówki, napotkałem grupę wrogo nastawionych młodych Duńczyków. Zamiast – jak to się często instynktownie robi – odpowiedzieć wrogością na wrogość, pokazałem im szybko swój paszport. Ostatecznie przecież podzielałem ich niechęć do nowego reżimu rozwijającego się tuż za granicą. Uprzejmość zwyciężyła.

W pobliskim Leer, w niemieckiej części Fryzji, w hotelowej recepcji po raz kolejny potraktowano nas nieprzyjemnie. Duńczycy myśleli, że jesteśmy Niemcami, ponieważ mówiłem po niemiecku, Niemcy z kolei brali nas za Duńczyków, bo nie mówiłem po niemiecku wystarczająco dobrze. W końcu jednak dostaliśmy pokój. Następnego dnia ruszyliśmy dalej, do Hamburga. Jego centrum, położone wzdłuż Alster, było w owych czasach bardzo malownicze. Były tam wąskie uliczki i masywne stare magazyny z transportowymi linami zwisającymi z poddaszy.

Wciąż mieliśmy w pamięci oszałamiającą zieleń Cobh w Irlandii sprzed dziesięciu miesięcy, kiedy to nasz statek zatrzymał się w porcie, a łódź zabrała na brzeg dwunastu szczęśliwych pasażerów. Dowiedzieliśmy się, że w czasie naszej podróży powrotnej z Hamburga do Ameryki możemy wysiąść w Cobh, zostać tam tydzień, a następnie, bez żadnej dodatkowej opłaty, kontynuować podróż kolejnym statkiem tej linii. Tak więc czternastego czerwca 1933 r. znowu popłynęliśmy *Prezydentem Rooseveltem* – na razie tylko do Irlandii.

W owych czasach tysiąc pięćset dolarów było pokaźną kwotą, a my staraliśmy się za te pieniądze zwiedzić jak najwięcej miejsc. Byłoby niepowetowaną stratą nie wykorzystać wszystkich nadarzających się okazji. Tak postępowaliśmy, ale mimo że staraliśmy się żyć bardzo oszczędnie, nasze zasoby były już na wyczerpaniu. Przejazd parowcem do Irlandii nic nas nie kosztował, musieliśmy tam jednak przeżyć tydzień. W ciągu owego roku nauczyłem się targować i to w miejscach znacznie bardziej wymagających niż Irlandia. Próbowałem przecwiczyć te umiejętności na właścicielce pensjonatu w Cobh. Dogadaliśmy się co do sumy za tydzień. Jednak, po głębszym zastanowieniu, gospodyni pożałowała swojej pochopnej decyzji i stwierdziła że suma jest zbyt niska. Ale stało się, klamka zapadła. Poza tym byliśmy naprawdę biedni i, chcąc nie chcąc, musiała zgodzić się na pierwotnie utargowaną kwotę.

Irlandzkie koleje oferują tanie bilety, za które można przez tydzień do woli podróżować po z góry wyznaczonym obszarze. My wybraliśmy hrabstwo Cork. Pojechaliśmy do Ballydehoy i Ballineen, do Schull i Skibbereen, do Baltimore i Cork. Patrzyliśmy na Fastnet z torfowiska na Mount Gabriel, pocałowaliśmy Kamień z Blarney. Tylko raz znaleźliśmy się poza obrębem hrabstwa Cork – przekroczyliśmy most pomiędzy Youghal, gdzie znajduje się dom Sir Waltera Releigha, a hrabstwem Waterford.

W Cork pokłóciliśmy się z Naomi jak jakaś para przekupniów. Nie pamiętam już, o co poszło. Wina mogła być po mojej stronie, jestem bowiem dość niecierpliwy, ale z biegiem lat okazało się, że Naomi cierpiała na stany maniakalno-depresyjne.

Z autobusu, który 29 czerwca przywiózł nas z Nowego Jorku do Akron, wysiedliśmy z siedmioma dolarami w kieszeniach. Spędziliśmy całe lato u moich rodziców w Ellan Vannin z wyjątkiem paru wizyt u krewnych w Toledo oraz u starych Artretyków z Oberlin College – członków "Αρθρον w czasie pobytu w Oberlin – a także w Ann Arbor, Napoleon i Cleveland. Napisałem recenzję ze zbioru pism Peirce'a i pracowałem nad swoją książką.

Przekład Karolina Bartkowiak